



Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl/>). Partnerem projektu jest Prokom Software SA. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN. Ten utwór nie jest chroniony prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza, że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać.
Źródło: http://wiki.wolnepodreczniki.pl/Lektury:Oppman/Legendy_warszawskie/Bazyliszek.

ARTUR OPPMAN

BAZYLISZEK

[Z LEGEND WARSZAWSKICH]

W KUŹNI PŁATNERZA

W kuźni płatnerskiej imćpana Melchjora Ostrogi robota wrzała aż miło. Czeladzie pracowali nad wykończeniem przepysznej zbroi rycerskiej dla Jego Miłości pana kasztelana plockiego, a dwóch chłopaków dęło w wielkie miechy, podsycając ognisko w ogromnym kominie. W płomieniach purpurowych i złotych tego ognia sam we własnej osobie imćpan Melchjor Ostroga, świetny mistrz sławetnego płatnerskiego cechu, trzymał w cęgach potężnych sztabę żelazną, aby ją za chwilę na miecz na kowadle przekować.

Miecz ten, wraz z pancerzem, z hełmem, z naramiennikami i nagolennikami stanowił właśnie całkowity rynsztunek bojowy, po który pan kasztelan miał dziś — jutro przyjechać.

A cudnaż to była zbroica! z najprzedniejszej stali, wypolerowanej, jak zwierciadło, pokryta nabijaniami ze szczerzego srebra, z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, prześlicznie w złocie wyimaginowanym, i z krzyżem husarskim na kołnierzu.

Miało to być prawdziwe arcydzieło przesławnej sztuki płatnerskiej, i niepomahał chlubił się nim już z góry mistrz Melchjor.

W kąci kuźni, za wielką kupą żelastwa, bawiło się dwoje dzieci: czarnowłosa chłopczyk i złocistoloka dziewczynka. Było to rodzeństwo, diatwa imćpana Ostrogi. Chłopczyk, jako to chłopczyk, rycerską znalazł sobie igraszkę: z kawałka cienkiego żelaza szablę krzywą, niby to turecką, uczynił i w fechtach ją się wprawiać, jak żołnierz. Ale dziewczynka, zapatrzona z początku w szermierkę braciszka, znudziła się niezadługo, boć co tam panienkę wojowanie obchodzi.

— Maćku! — zawołała na brata — chodźmy już stąd na Rynek; w Rynku tak wesoło i gwarno, słoneczko świeci; pobiegamy, przyjrzymy się kramom i towarom.

— Czekajno, Halszko, jeszcze ano kilka cięć krzyżową sztuką przypomnę i pójde z tobą, kiedy chcesz koniecznie; choć mnie i w kuźni dobrze: tyle tu ciekawych rzeczy: kopii, koleczug, bułatów.

Machnął raz i drugi szabelką, cisnął ją na ziemię i zabierali się ku wyjściu.

Spostrzegł wychodzące dzieci mistrz Ostroga i przywołał je do siebie.

— A gdzie to, malcy?

— Na Rynek, tatuńciu.

— A poco?

— Popatrzeć, pobiegać, światu Bożemu się przyjrzyć.

— Zgoda. Ale uważajcie na siebie i na obiad się nie spóźnijcie do matki. I jeszcze jedno: niech was ręka Boska broni chodzić na Krzywe Koło do zburzonego domostwa. Niedobre sprawy się tam dzieją. Coś straszy, coś jęczy. Jeszcze by was, strzeż Panienko Najświętsza, złe porwało!

— Ja się niczego nie boję, tatuńciu! — zuchowato zawołał Maciek.

— A ja się wszystkiego boję, tatuńciu! — zapiszczała cieniutko Halszka — i nie pójdziemy!

— No, to bądźcie mi zdrowe, dzieciaki!

NA STARYM RYNKU

Na Rynku wrzask i harmider. Tłum w barwnych ubiorach krąży dokoła Ratusza, który dumnie wznosi się pośrodku placu. W Ratuszu na dole kramnice bogate, dostanie w nich, czego dusza zapragnie. Tu sklepy ormiańskie z tkaninami tureckimi, haftowanymi złotem i srebrem, z dywanami perskimi i indyjskimi szalami; tam Szkot suknem i płótnem zamorskim handluje; ówdzie poważny Turek z długą brodą i z cybuchem w ustach zasiadł za ladą, na której figi, daktyle, rodzynki, bakalie przeróżne stosami się piętrzą, aż ślinka idzie, a jeszcze gdzie indziej Niemiec, czy Holender zabawki ma takie, łątki, czyli lalki, koniki, pieski, piłki, że aż oczy bolą patrzeć i chciałoby się mieć to wszystko na własność.

Maciuś i Halszka przewijają się wśród ludzkiej gromady zrećnie i szybko, jak dwa piskorze; sami nie wiedzą, na co spojrzeć. I to wabi, i to nęci. Wszędzie jest tyle piękności, że można by rok chyba cały po Rynku wędrować i jeszcze by się wszystkiego nie zobaczyło.

Aż ci tu nagle zahuczy bębenek, zaświszczy piszczalka, talerze blaszane zadźwięczą. Co to takiego? A to Cygan, czarnokudły, ciemny na gębie, uczonego niedźwiedzia na łańcuchu prowadzi. Cóż to za niedźwiedź! Boże miły! Wszystko umie, wszystko rozumie. Gada ci Cygan do niego jakimś łamanym językiem, z kiepska po węgiersku, a ten robi, co mu każą, ani się namyśli.

— Miszka! Ukłoń się ładnie jasno wielmożnym państwu! Niedźwiedź się kłania.

— Miszka! jak stare baby wodę z rzeki noszą?

Niedźwiedź dwa wiadra na drągu na plecy bierze i lezie taczając się z boku na bok, jak pijany.

— Miszka! Jak młode panienki na weselu tańczą?

I niedźwiedź nuż w podrygi, a w łamańce. Boki zrywać ze śmiechu!

Gdy się tak Maciek i Halszka zwierzowi mądremu przypatrują, z nagła ktoś im ręce na oczach położył i ciekawy widok zasłonił.

— Zgadnijcie, kto to taki? — ozwał się głosik rzeźwy, wesoły, radosny.

— Waluś! Waluś! — ucieszyło się rodzeństwo — poznaliśmy cię od razu po głosie! Ale odsłoń no już nam oczy i spozierajmy razem na niedźwiedzia.

Odrócili główki: jakoż był to w istocie Waluś Klepka, synek dziesięcioleciek imćpana Pietra Klepki, bednarza z Zapiecka.

Waluś, dawny ich znajomy, miły i zabawny chłopczyk, jedną wielką miał wadę: urwis był z niego okrutny. Psocił i broił co niemiara; rady sobie z nim rodzice dać nie mogli. Obiecywał poprawę, przyrzekał posłuszeństwo, ale gdzie tam! Za parę dni — co dni! — za kilka godzin znów jakąś sztukę wypłatał. Niewytrzymanie ludzkie z takim wiercipiętą!

Niedźwiedź odprawił swoje widowisko, Cygan do czapki sporą kupkę nazbierał szelągów, pomiędzy którymi gdzieniegdzie i srebrny grosz zabłysnął — i ruszyli dalej.

A ruszyli właśnie, jak na nieszczęście, w stronę Krzywego Koła.

Trójka malców powlokła się za gromadą, ale, gdy przechodzili koło zwalisk odwiecznego domostwa, o którym płatnerz wspominał, Waluś zatrzymał Maćka i Halszkę.

— Poczekajcie — szepnął tajemniczo — coś wam powiem, coś pokażę.

— No co? No co? — zaciekały się dzieci.

— Oto to, żebyśmy zeszli po tych schodach, co widzicie, do piwnic starego domu.

— Co ty gadasz, Walusiu? — zawołała Halszka; — jakże to można, choćby żartem, mówić o tem. Toć że tam straszy! Tatuś powiadali.

— Ehe! straszy, straszy... Bajki ze strachami! a ja wam mówię, że tam są skarby zakłete. Zazierałem w piwnicę wczoraj w południe, to powiadam wam, coś tak błyszczało, gdy słońko zajrzało do wnętrza, że aż mnie oczy zabolaly. Ani chybi: złoto!

Maciek się zastanowił.

— A może by znijsć na chwilę, a skarby matusi i tatuńciowi przynieść. Tożby się ucieszyli! Jak myślisz, Halszko?

— Ja nie znijdę! — rezolutnie zakrzyknęła Halszka — nie znijdę za nic na świecie!

— Och, ty mały tchórze! — zaśmiał się Waluś — nie schodź sobie, jeśli nie chcesz! My dwaj pójdziemy, prawda, Maciusiu?

I posunął się ku schodom, widniejącym z ulicy, a Maciek, że to był chłopak odważny i śmiały, za nim.

— Kiedy tak — na wpół z płaczem zawołała Halszka — to i ja pójde; nie opuszczę cię przecież, braciszku! Niech się dzieje wola Boska!

— I nie pożałujesz, Halszko, pełny fartuszek dukatów ci nasypię. A teraz — schodźmy do piwnic!

I poszli.

W LOCHACH ZWALISKA

Schody były drewniane, połamane i zepsute, a niektórych stopni brakło już zupełnie, tak, że trzeba było często skakać ze stopnia na stopień, pomijając otwierające się pomiędzy niemi luki. Dość uciążliwa była to droga, zwłaszcza, iż zaraz niedaleko od wnijscia załamywały się schody i ciemność ogarnęła Walka, Maćka i Halszkę.

Wprawdzie niewielkie światełko migotało w oddali: było to zapewne okienko piwniczne, wychodzące na Brzozową, bo tyły domów z Krzywego Koła na tę właśnie ulicę miały widok, ale światełko to było dalekie i niepewne, ile że okienko musiało być brudne i pajęczyną zasnute.

Waluś szedł przodem, o kilka kroków przed rodzeństwem; dobrej był myśli i podśpiewywał sobie wesoło, nie przeczynał biedaczek, co go spotka za chwilę.

Tak idąc ostrożnie i pomału, zeszli nareszcie do lochu i znaleźli się w wielkiej, sklepionej piwnicy. Pod ścianami jej stały rozmaite rupiecie: stare okna, futryny, drzwi i różne nieużyteczne graty. Po prawej stronie piwnicy widać było, uchyloną nieco, żelazem okutą furtkę od dalszych zapewne lochów.

— Maćku, Halszko! — rzekł Waluś, a głos jego dziwnie ponuro rozbrzmiał w głębokościach podziemia — kiedyśmy tu już zeszli, to idźmyż i dalej, spenetrujemy całe zwaliska, a skarb znajdzie się na pewno.

— Walusiu, mój Walusiu! proszę cię, chodźmy już na górę — rzewliwie zawołała Halszka. — Co nam po skarbach! Wróćmy! ja się czegoś lękam okropnie.

— I ja bym radził wrócić — poważnie rzekł Maciek. — Dalszej drogi nie znamy; kto wie, co może być za tą furtką? Rodzice i nasi i twoi niespokojni będą. Czemuż ich martwić?

— A ja jednak pójde i wy pójdziecie ze mną! — krzyknął zapalczywie Waluś. — Co mi tam wszystkie bajdy o strachach! O! raz, dwa, trzy! Już idę!

I powiedziawszy to, podbiegł do furty zamczystej, szarpnął ją, otworzył — i nagle, jak piorunem rażony, runął na ziemię, jak długi.

Co to się stało?

Z otwartej czeluści drugiej piwnicy buchnęło zgnilizną i w zielonawym świetle, przypominającym blask świętojańskich robaczków, Maciek i Halszka ujrzeli okropnego potwora. Był to niby kogut, niby wąż. Głowę miał kogucią z ogromnym purpurowym grzebieniem w kształcie korony, szyję długą i cienką, węzową, kadłub pękaty, nastroszonymi czarnymi piórami pokryty, i nogi kosmate, wysokie, zakończone łapami o ostrych olbrzymich pazurach.

Ale najstraszniejsze były oczy potwora: wylupiaste, okrągłe, do sowych ślepiów podobne, jarzące się to czerwono, to żółto; oczy te, na szczęście, nie widziały Maćka i Halszki, utkwiała je bowiem poczwara w ciało leżącego na ziemi i nieżywego już biednego Walusia.

— Bazyliszek! — szepnął drżącym głosem Maciek — to bazyliszek, siostrzyczko; schowajmy się, schowajmy czym prędzej!

I po cichutku, po cichutku, trzymając się za ręce, dzieci na paluszkach posunęły się ku ścianie i wślizgnęły się za wielkie drzwi o mur prastary oparte.

W tym ukryciu, bezpiecznym na razie, Maciek począł szeptać siostrzyczce do uszka:

— To bazyliszek! Słyszałem o nim od tatuńcia. Sroga to stwora! na kogo spojrzysz — wzrokiem zabije! Tak zabił Walusia. Stójmy tu cicho, Halszko, stójmy cichutko...

— Boże, mój Boże! — załkała Halszka — co to będzie? Co się z nami stanie? Poczłamy tu przyszli? Poczłamy tu przyszli? Ja chcę do domu!

— Uspokój się, siostrzyczko — szeptał Maciek — wrócimy do domu, jeśli Bóg pozwoli; ale teraz chodzi o to, żeby nas bazyliszek nie spostrzegł, bo jak zobaczy i spojrzysz na nas — wszystko przepadło: umrzemy!

— Maćkuuuu! Maaaćku! Halszko! Halusiu! — rozległo się nawoływanie z ulicy — Maaaćku! Haaalszko! gdzie wy jesteście? Obiad gotowy! Obiad gotowy!

Przerażone dzieci poznały głos Agaty, ale się odezwać nie śmiały.

Bazyliszek odwrócił łeb grzebieniasty, jeszcze straszliwiej najeżył pióra i jaskrawymi ślepiami spojrzął w stronę schodów.

Na schodach stanęła stara Agata, a za nią, w ulicy, widać było gromadkę mieszczanek i mieszczan.

— Tu zeszły, tu zeszły na pewno — ozwały się głosy na górze — musiały się zabląkać w podziemiach; nie schodźta, Agato, bo was jeszcze jakie lichy zadusi!

Ale Agata, poczciwa stara służąca, już schodziła do lochu — i oto zaledwie zeszła na dół, zabrzmiał jej okrzyk, okropną trwogą wezbrany, i głucha, posepna cisza zaległa znowu piwnicę.

To płomienisty wzrok bazyliszka uderzył w nieszczęsną i trupem ją na miejscu położył.

Gromadka przed schodów pierzchnęła w Rynek i w przyległe uliczki, roznosząc wieść okropną na miasto. Skamieniałe z przerażenia rodzeństwo przytuliło się do wilgotnego muru, trzymając się konwulsyjnie za rączki, a bazyliszek rad ze zniszczenia, jakie uczynił, począł się przechadzać po lochu tam i z powrotem, tam i z powrotem. Wydostać się z piwnicy nie było sposobu! ...

U CZAROWNIKA

— Pani Ostrożyno! Pani Ostrożyno! dzieci wam przepadły! dzieci wam w lochach zginęły!

— Jezusie! Maryjo ! Co takiego! Co wy mówicie, ludzie? Gdzie? Jak? gadajcie!

— Ano, polazły do piwnic na Krzywym Kole i, musi, bies im główki ukręcił, niebożętom!

— Chrystusie cudowny u Fary! ratuj! wspomagaj! — Skądże wy wiecie to wszystko?

— Widzieli szewczyki z przeciwka, jak dzieci z Walkiem od Klepki schodziły w podziemia, a potem wasza Agata wołała je, wołała, aż zeszła do piwnic — krzyknęła okropnie — i już nie wyszła! Słyszeliśmy!

— Agatę ja posłałam, bo dzieci nie wracały. Boże wielkiego miłosierdzia, bądź miłościw mnie grzesznej! Co ja tu pocznę, nieszczęsna?!

W przedsieniu uczynił się rumor i przedzierając się przez ciżbę wpadł do alkierza mistrz Melchior. Błady był płatnerz i drżący, bo już dowiedział się był w kuźni o srogim ciosie, jaki go ugodził. A Maćka i Halszkę miłował ponad wszystko, ponad życie własne!

— Co robić, Melchrze, co robić? — biadała Ostrożyna. — Ratujmyż nasze maleństwa kochane! Ślubuję Ci, Panie Jezu, srebrne serce złożone pod Twoje nóżki najświętsze, jeno dopomóż nam w tym strapieniu!

Z gromady wysunął się sędziwy rajca miejski, imćpan Ezechjel Strubicz, mąż mądry i stateczny, znany całej Warszawie z dobroci i z przywiązania do dziatwy staromiejskiej.

— Co robić? — powtórzył — ja wam poradzę, co robić: walcie, jak w dym do czarownika na Piwną. Któż jak nie on lek znajdzie na waszą troskę skuteczny? On się zna na sprawach ziemskich i zaziemskich, boć to i doktor, i alchimista, i astrolog, i człek, co po uszy w księgach starych siedzi. Ba! skrzydła ponoć zmajstrował i nocami na nich po powietrzu lata.

— Walcie do czarownika! Walcie do czarownika! — wrzasnęła gromada, — On pouczy, on dopomoże! Dobra rada! Przednia!

— Najprzedniejsza — przytaknął strapiony rodzic. — Bóg wam zapłać, Strubiczu! Chodź, żono, idziemy na Piwną.

— I ja z wami — imćpan Strubicz na to — a nuż się jeszcze uda Maćka i Halszkę odszukać.

— Dajże to, Matko Boska Częstochowska — zapłakała Ostrożyna. — Niech się tak stanie!

Na Piwnej, na czwartym piętrze pod samym dachem wysokiego narożnego domu, mieszkał sławny i uczony doktor, dominus Hermenegildus Fabuła, znany nawet na dworze króla jegomości.

Nie był to, prawdę mówiąc, czarownik, tylko wielce znamienity lekarz i człek we wszystkich kunsztach i naukach wyzwolonych doświadczony. Jeno gmin warszawski, widząc jego prawie cudowne kuracje, i obserwując z daleka tajemnicze praktyki, mienił go, w prostocie swojej, być czarnoksiężnikiem, z mocami nadprzyrodzonymi mającym ścisłą styczość. A że pan rajca Strubicz czarownikiem go nazywał, to jeno tak tylko, aby ludowi na poprzek nie stawać, który lubi rzeczy niezrozumiałe i rad ku cudowności się obraca, samą mądrość ludzką lekce sobie ważąc i zgoła postponując. W obszernej komnacie o łukowym sklepieniu siedział za wielkim stołem, zawalonym księgami i pergaminami, człeczek maleńki, chuderlawy, wyschły, o licu poźółkłem, pomarszczonym, jak pieczone jabłko; ale źrenice w tej twarzy, ogromne, czarne, jarzyły się, jak pochodnie gorejące, a taką miały moc i potęgę te oczy, że, gdyś w nie spojrział, zdawało ci się, iż na wielkoluda spozierasz, i mimowiednie budziły się w tobie lęk, podziw i uszanowanie dla tej niepozornej, a jednak imponującej postaci.

U sufitu komnaty wisiał wypchany krokodylek łokciowy, w kącie stała mumia egipska, na oknie w słojach rozlicznych pławiły się ropuchy, węże, padalce, robaki jakieś zamorskie. A wszędzie, gdzieś spojrział, księgi, księgi i księgi.

Gdy mistrz Ostroga z żoną i z imć panem rajcą Strubiczem weszli do doktora Fabuli, ów podniósł oczy od foljantu, w którym coś czytał z ciekawością i zadowoleniem ogromnym, bo aż się uśmiechał radośnie, ale, zobaczywszy wchodzących, wstał, obciągnął swoją czarną szatę, co mu się pofałdowała na ciele, i spytał:

— A czego to waćpaństwo życzycie sobie ode mnie?

Tedy Ostrożyna z płaczem a narzekaniem wielkim opowiedziała całą sprawę, a gdy skończyła i chlapiąc błagać poczęła o pomoc i ratunek, dominus Hermenegildus Fabuła tak rzecze:

— Wiem ci ja dobrze, co było przyczyną zaguby waszmość państwa dziątek, bom właśnie w tej księdze o podobnych przypadkach traktat wertowałem. Oto, ani mniej, ani więcej, tylko stwór najniebezpieczniejszy i najszkodliwszy na ziemi, który się zwie: bazyliszek.

— Bazyliszek? — zakrzyknęli w popłochu Strubicz, Ostroga i Ostrożyna — bazyliszek! Tedy już nadaremne wszystkie trudy i starania nasze!

— Z trwogi waszej wnoszę, iż waćpaństwu wiadoma jest natura owego zwierza i to, iż on wzrokiem swoim wszelkie żyjące stworzenia zabija. Alić Bóg jest wielki i nadziei do ostatka tracić człekowi wierzącemu nie wolno. A choćby wreszcie i pomarły już dziateczki wasze, toć trzeba je wydobyć z piwnicy, aby przecie pogrzeb chrześcijański mieć mogły; bazyliszka zaś ubić należy koniecznie, boć niejedna jeszcze ofiara od ślepiów jego zabójczych na śmierć pewną pójdzie, ani chybi! Póki ta bestia przekłeta żywię, Warszawa spokojności nie zazna!

— Jakże to uczynić, mężu uczony? — zapyta Strubicz.

— Jakże to uczynić? Jakże to uczynić? — zawołają Ostroga i Ostrożyna.

— Jest sposób — odpowie Hermenegildus Fabuła — jest taki sposób, jeno tak trudny i niebezpieczny, że nie wiem, azali się znajdzie kto w tym tu mieście, coby się ważył na takie przedsięwzięcie.

Oto trzeba, aby do lochu zeszedł człowiek, całkowicie obwieszony zwierciadłami; gdy bazyliszek spojrzy w nie i siebie zobaczy, sam się własnym wzrokiem zabije, a tak uwolnilibyśmy od potwora i tę Warszawę umiłowaną i całą przesławną Rzeczpospolitą.

— Sposób jest dobry i pewny, ani słowa! — wyrzeknie Strubicz — ale skąd wziąć takiego śmiałka, co zdrową głowę pod ewangelię położy?

— Tak, tak — zajęknie Ostrożyna — niema już takich ludzi na świecie!

Nagle do komnaty Fabuli dobiegł ponury głos farnego dzwonu, a w ślad za tym przejmującym dźwiękiem, ogromny gwar tysięcznego tłumu. Imćpan Strubicz wychylił się przez okno.

— Mam! mam! — zakrzyknął radośnie — mam takiego człowieka! Kumie! Kumo! za mną!

— Bóg zapłać, uczony mężu! Bóg zapłać!

I już ich nie było w komnacie.

SKAZANIEC

Od Rynku w stronę Piekiełka zdążył ponury, choć jaskrawy orszak. Przodem szła straż miejska z halabardami, za nimi „bracia pokutnicy” w długich ciemnych opończach, z twarzami osłoniętymi rodzajem maski sukiennej, w której wycięto jedynie otwory na oczy; dalej dostojnie stąpił imćpan pisarz miejski ze zwojem pergaminu w ręku, za panem pisarzem asysta z urzędników sądowych złożona, wreszcie dwie główne osoby pochod: skazaniec, niemłody już, brodaty mężczyzna w nędznej odzieży, ze związanymi w tyle rękoma, i kat, olbrzymi, rozrosły drągal, cały w czerwieni, z potężnym błyszczącym mieczem i z dwoma butlami, czyli pachołkami. Po bokach, z przodu i z tyłu orszaku cisnęło się mrowie nieprzeliczone warszawskiego pospólstwa, uliczników, urwisów i wszelakiej hałustry, ciekawej okropnego widowiska

Już pochód stanął na placu, Piekiełkiem zwanym, gdzie pośrodku, na czarnym suknie, widniał pieńek, miejsce stracenia; już pan pisarz miejski odczytał nosowym głosem wyrok, brzmiący: iż Jan Ślązak, krawczyk wędrowny, oskarżony o zabójstwo swego towarzysza podróży, na gardle ma być ukaran i mieczem ścięty; już skazaniec klęknął przy pieńku i głowę na nim położył, a kat mieczem straszliwym błysnął pod słońce, gdy nagle... gdy nagle imćpan Ezechjel Strubicz z mistrzem Ostrogą przedarł się przez stłoczone tłumy gawiedzi i tubalnym basem zakrzyknął:

— Stójcie! Stójcie!

Kat miecz wzniesiony opuścił, skazaniec zadygotał całym ciałem, a pan pisarz miejski, zdjęte dopiero co okulary z powrotem na nos sążnisty założywszy, niechętnie spojrział na rajcę, oczekując wyjaśnienia sprawy.

A imćpan Strubicz rozpoczął przemowę:

— Po pierwsze: w imieniu szlachetnego burmistrza miasta starej Warszawy rozkazuję wstrzymać egzekucję! Po drugie: natychmiast rozwiązać winowajcę! Po trzecie: zbliż się, Janie Ślázaku!

Zapytuję ciebie, Janie Ślázaku, któryś jest na śmierć osądzon i nic cię od niej ocalić nie może, azali zgadzasz się zejść do lochu, gdzie przebywa bazyliśzek, i zabić oną bestię zjadliwą?

Jeżeli to uczynisz — wolny będziesz! To ci przez moje usta sam szlachetny burmistrz i cała wysoka rada miejska solennie obiecuje i przyrzeka.

Zdumiał się wielce imćpan pisarz miejski, zdumiało się pospólstwo, a skazaniec, wznosząc dziękczynnie oczy ku niebiosom, odpowie:

— Zgadzam się, przezacny panie, zgadzam się tym łacniej, iż — Bóg mi świadkiem — niewinien jestem zarzucanej mi zbrodni i tak myślę, że łaska Pana Jezusowa będzie ze mną.

Tedy nie mieszkając wiele, powiedli Strubicz i Ostroga skazańca na Ratusz, skąd, obwieszono zwierciadłami, zaprowadzono na Krzywe Koło i kazano mu znieść do podziemi. Burmistrz, rajce, ławnicy i setki ludu czekały na ulicy, a przed wszystkimi, wpatrzeni chciwie w otwór piwniczny, stali mistrz Ostroga, pani Ostrożyna i dobry rajca Strubicz. Upłynęła chwila — i oto w lochu rozległ się głos przeraźliwy: coś, jakby chrypliwe pianie koguta, jakby świszczący syk węża, jakby śmiech diabelski, a takie to było okropne, że zgromadzonym aż ciarki przeleciały po grzbietach i włosy dębem na głowach stanęły.

— Zabity! Zabity! — zadźwięczał donośnie głos Jana Ślązaka.

— Zabity! — zahuczał tłum. — Bazyliszek zabity! — wichrem pomknęła radosna wieść na Rynek, na Świętojańską, na Piwną, na Brzozową, na oba Dunaje: Szeroki i Wąski, i na całą starą Warszawę.

A na schodach piwnicznych ukazała się postać cała w lustrach, niosąca na ostro zakończonym drągu straszliwego potwora.

Porwał go kat z rąk dzielnego Ślązaka i na Piekielku, na stosie ognistym, ku uciesze tysięcznego ludu, na popiół spalił.

Stało się wszystko tak, jak przepowiedział mądry doktor Hermenegildus Fabuła: bazyliszek spojrział w zwierciadło i sam się wzrokiem swym jadowitym zatrzał i zabił.

Ale pani Ostrożyna, mistrz Ostroga i rajca Strubicz, wzięwszy zapaloną pochodnię, pędem pobiegli do lochu.

— Maćku! Halszko! — wołała matka. — Maćku! Halszko! — wołał ojciec — zaliście żywi? Ozwijcie się! Gdzie wy? Gdzie wy?

— My tu, matusiu! My tu, tatuńciu!

I z ukrycia swego, z za wielkich drzwi, o mur prastary opartych, wybiegły dzieci i zdrowe, choć pobladłe jeszcze ze strachu, rzuciły się w objęcia rodziców. O, jakaż radość! O, jakież szczęście! Uściskom i pocałunkom końca nie było, aż imćpan rajca Strubicz, choć taki stary i mądry, płakał jak bóbr i od płaczu się zanosił.

Tak się skończyła przygoda z bazyliszkiem. Przyplęcili ją życiem nieposłuszny Waluś i stara, poczciwa Agata. Zwłoki ich, wydobyte z piwnicy, pochowano uroczyście, a rodzina Ostrogów nigdy o nich nie zapomniała.

Co do męznego Jana Ślązaka, to okazało się, iż on istotnie nie był winien zabójstwa swego kamrata; ten bowiem zjawił się niebawem w Warszawie i opowiedział, że zabłąkawszy się w boru, przebył w nim bodaj miesiąc z górą, aż go węglarze, drzewo w lesie wypalający, przypadkiem znaleźli i do Warszawy, na dobrą drogę skierowali.

Żaden bazyliszek już się więcej w mieście nie pokazał.